

V-0100/3

TYGODNIK ILLUSTROWANY



N^o 81.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 1 pół.

Warszawa, $\frac{1}{13}$ kwietnia 1861.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Kościół katolicki w Odessie (z trzema drzeworytami). — Kronika tygodniowa. — Do redaktora Tygodnika Ilustrowanego. — Jan Jędrzej Morsztyn (dokończenie). — Szlachcie Hołota, obrazek obyczajowy (dalszy ciąg). — Zebraństwo i poprawcze szkoły rolnicze. — Odezwa komitetu wsparcia pogorzalców miasta Rawy. — Pudlingarnia i walcownia żelaza w Irenie (z drzeworytem). — Szachy i Rebus.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W ODESSIE.

Uprzejmoci pana Józefa Zarzeckiego, obywatela gubernii mohilewskiej, zawdzięczamy nadesłanie załączonych tu w kopii rysunków, z których jeden przedstawia wnętrze, drugi zewnętrznie kościoła katolickiego w Odessie, trzeci zaś, zamieszczony na czelu dzisiejszego numeru, chrzcielnicę marmurową, podarowaną temuż kościołowi przez papieża Piusa IX. Nie mając w tej chwili pod ręką innych materyałów, wyjmujemy z listu pana Zarzeckiego kilka szczegółów tej świątyni dotyczących.

Ks. Grzegorz Rzutowicz, objawszy probostwo parafii odeskiej, z ubogim bardzo kościółkiem przy ulicy św. Katarzyny, powziął pierwszy myśl wzniesienia tam wspanialszego domu Bożego, i jego to staraniem stanęła świątynia w drzeworytach naszych przedstawiona, będąca dziś jedną z najcenniejszych ozdób miasta. Fundusze na to dzieło pobożne płynęły obfitemi składkami ze wszystkich stron kraju. Dnia 14 kwietnia 1846 roku położono kamień węgielny budowli, a w siedm lat później (16 sierpnia 1853) została uroczystie poświęconą, na cześć wniebowzięcia N. Maryi Panny.

Szanowny nasz korespondent przesyła nam listę osób, które darami swojemi przłożyły się do wystawienia kościoła odeskiego; sądzimy jednak iż nie służy nam prawo wymienienia nazwisk tych pobożnych dobroczyńców.

Świątynia cała wytynkowana jest stiukiem marmurowym i ozdobiona wytworną rzeźbą; okna ze szkła kolorowego i białego nader gustownie urządzone; ambona z jednolitych płyt marmurowych wspaniale wyrzeźbiona; chrzcielnica marmurowa, jak już wspomnieliśmy, dar teraźniejszego papieża, z posągami św. Jana Chrzyciela, tudzież ze stosownemi godłami i napisami, znakomite dzieło rzeźbiarstwa tegoczesnego. Koszt ogólny budowli wynosił około 700,000 złp. Kościół w porze zimowej ogrzewany jest kaloriferami, posiada sześć ołtarzów marmurowych, oprócz głównego, i kilkanaście

dobrych obrazów, po większej części pędzla Chojnackiego.

Przy kościele utrzymywana jest szkółka parafialna dla dzieci ubogich wyznania katolickiego. Szkołka ta w roku 1843 liczyła zaledwie 12 uczniów; dziś, dzięki staraniom i pieczołowitości ks. Rzutowicza, przeszło 100 chłopców i dziewcząt bezpłatną pobiera tam naukę.

Zasluguje także na uwagę urządzona przy tym kościele funduszem składkowym cysterna do chwytania wody deszczowej. Stanowi to nie małą dogodność nietylko dla potrzeby kościelnej, lecz także dla mieszkańców ulic przyległych; cała bowiem Odessa nie ma innej wody prócz deszczowej, a ztąd w czasie posuchy właściciele domów wydziałają tam swoim lokatorom wodę z cystern prawie pod miarę.

Donosi nam w końcu p. Zarzecki, że ks. Rzutowicz, lubo odebrał potrzebne dla duchownego wychowanie teologiczne, nie posiadał jednak za przybyciem do Odessy języków zagranicznych. Czując atoli potrzebę udzielania pomocy duchownej licznym cudzoziemcom w tym mieście przebywającym, wyczył się w krótkim czasie języków: francuzkiego, niemieckiego, włoskiego i ormiańskiego, któremi dziś włada na równi niemal z polskim. Piękny to, zaprawdę, przykład rozległego pojmovania obowiązków zawodu kapłańskiego.

Kronika tygodniowa.

Zdarzają się chwile, w których lekkie pióro staje się ciężarem, a powinność pisarska męczarnią.

Zdawałoby się że wówczas człowiek pragnąłby jak pajak z siebie wysnuć cały watek myśli, ale nitki te, zamiast układać się w lekką tkaninę słów i frazesów, wracają napowrót do głowy, wirują w mózgu, żadną siłą nie dając się utwierdzić, albo w systematyczny ułożyć porządek.

Wówczas nawet samotność, ta pora swobodnego rozmyślenia, tak pożądana dla tych, którzy lubią śledzić pojedyncze objawy życia i wyciągać z nich dla samych siebie naukę, wskazówkę dla innych, nawet samotność staje się nieznośną. Człowiek ucieka do innych, pragnąłby usłyszeć dźwięk czy-



CHRZCIELNICA W KOŚCIELE KATOLICKIM W ODESSIE.
(Rysował Polkowski, rytowano w drzew. Tygodnika.)

jegoś głosu, choćby nawet obojętne zaczerpnąć słowo, bo lęka się samotności, lęka się własnych myśli, lęka się tego nieokreślonego odmetu, który Bóg w nas zaszczerpił, gdy pragniemy przejrzeć po za oznaczone nam przez rozum ludzki granice.

A jeżeli wówczas ponad pisarzem stanie twarda konieczność, włoży mu pióro w rękę i każe pisać o przedmiotach zwykłej, codziennej barwy, to nie dziwić się mu że odczuwa on w sobie mękę Plauta, zmuszonego obrać młynarskie żarna, z myślą palącą się w głowie i skazującą na bezwładność członki.

O jakże wówczas ciężko wypełnić owo trudne zadanie autorskie, zadanie które od początku pragnęliśmy zachować sobie za hasło: „Myśl zawsze to co piszesz, pisz zawsze to co myślisz.“

Nie wiem czy te kilka słów, które mimowolnie rzuciłem na papier, będą dla mnie usprawiedliwieniem przed wami, czytelnicy, za nieład myśli i niesforność słów, które znajdziecie może w dzisiejszej mojej kronice... Minął jeden tydzień, życie o kilka dni posunęło się naprzód, z każdym tętnem tego życia wypadki zapadły w przeszłość i niezatarłymi tam wryły się rysami, a z pośród tej przeszłości, z pośród tych wypadków napróżno szukam planu dla siebie, napróżno szukam jednej chwili, którejbym opisu tknąć się mógł lub śmiał.

W tym czasie trudne bardzo, chociaż konieczne dla jego szczęścia przejście kraj ma przed sobą. Obywatele nasi wiejszy zajęci są we wszystkich stronach zawieraniem ugód czynszowych z włościanami. Niełatwa to rzecz do przeprowadzenia, bo z początku każdej takiej sprawy mnożą się trudności, z powodu odosobnienia od dziedziców, w jakim się tak długo włościanie nasi znajdowali. Ale trudności te nie są nieprzezwyciężonymi, dowodem tego, że w niektórych okolicach nastąpiło już w pewnych punktach porozumienie. Podano sobie obustronne warunki, a przede wszystkim podano sobie ręce i przyrzeczono jedność w działaniu, boć to przecież wspólna jest sprawa pracy około pomysłowości tej naszej ziemi i wszystkie jej dzieci powinny łączyć swoje usiłowania dla doświadczenia do tego celu.

Zauważano, że tam gdzie włościanie zdolali choć trochę zaczerpnąć początków ukształcenia, rzeczy szły daleko łatwiej. Temu co umie czytać i pisać, albo chociażby czytać tylko, można przynajmniej wytłumaczyć co to jest własność, co to jest nabycie jej i jakie ono obowiązki pociąga za sobą. Takim również łatwiej jest oddziaływać na drugich przez wyższość umysłową jakiej nabyli, i dwaj albo trzej czytający i piszący we wsi, zdolni są pociągnąć za sobą całą gromadę. Oni potrafią przemówić do niej, utrafić w jej przekonanie i sprawić to, na coby dziedzic nieraz napróżno się silił, wyczerpnawszy wszelkie środki własne. Jest to jeszcze jeden dowód przemawiający za konieczną potrzebą szerzenia oświaty między ludem, za potrzebą szkółek wiejskich, które powinny być jedną z głównych dźwigni tej oświaty, a tak długo u nas były w zaniedbaniu.

Religijność dużo także wpływa na znakomite ułatwienie tej pracy. Tam gdzie plebani wiejscy potrafili stać się dla ludu prawdziwymi jego ojcami duchownymi, tam wpływ ich przeważnie działa, a wpływ ten koniecznie powinien być obracany na zachowanie zgody i jedności. Każdy chłop winien mieć w sobie wpojone to przekonanie, że do plebana iść mu należy po radę i objaśnienie, że tam je znajdzie udzielone sobie szczerze i po ojcowsku. Ale ta styczność włościan z plebanami nie na progu świątyni pańskiej kończyć się powinna. Wszelkie kazania i głoszenia z ambony nie pomogą, jeżeli nie przyjdzie im w pomoc słowo ojcowskie głoszone po chatach, jeżeli ta suknia duchowna zdaleka i w świątecznych tylko chwilach widną będzie dla parafian, jeżeli między niemi a proboszczem nie stanie pewien rodzaj zażyłości poufalej, jak pomiędzy ojcem a dziećmi.

W każdym razie rzecz można, że z pomiędzy wiadomości odebranych z prowincyi, wiele jest pocieszających. Tutaj i równouprawnienie wyznań ważną bardzo gra rolę. Starozakonni po wsiach i miasteczkach, obojętni dotychczas dla panów i wyłącznie prawie na swoją rękę działający, dziś wszelkimi siłami popierają wspólny interes, obracając na to różne środki przekonania i wpływy, jakimi ich ciągle obcowanie z niższą klasą i dokładne poznanie jej charakteru obdarzyło. A można powiedzieć że pomimo tej niby to nieufności, jaką chłop okazuje starozakonnemu, pachciarz albo faktor są jednak po wsiach prawdziwymi wyroczniami, bez nich nic się nie dzieje, oni wtajemniczeni są we wszystko. I jakże się temu dziwić? Bez współdziałania starozakonnych, najważniejsze sprawy bytu włościan naszych byłyby narażone na szwank, przez to samo że te sprawy od tak da-

wna w rękę ich się znajdują, że to współdziałanie ich w zwyczaj, prawie w życie weszło. Więc Maciek musi wierzyć Janklowi, bo wie że najprzód Jankiel mędrzy i przebieglejszy od niego, że ma stosunki, że łatwo mu przewidzieć się o wszystkim, że zresztą, chociaż Jankiel zyskuje na nim, bo i żyje z tego, to zawsze jednak udziela mu pieniędzy na zawołanie, nie poskąpi kredytu, gotów do kupna, a w złe czy dobre czasy da sobie zawsze radę. Jakże więc się dziwić, że Jankiel jest wyrocznią dla wszystkich mniej więcej Macków w okolicy?

I musi tak być, dopóki włościanie nasi nie potrafią sami radzić o sobie, a radzić z tym samopoznaniem, które tylko pewien stopień wykształcenia nadać może, dopóki istnieć będzie nieufność, której wykorzenienie głównym teraz powinno być celem dla każdego dobrze myślącego.

Wówczas i starozakonni, nie tracąc wcale swojego wpływu, bo będą go zawsze mieli, jako ludzie obdarzeni od natury wielkimi handlowymi i przemysłowymi zdolnościami, pójdą w ślad za temi rozszerzonymi potrzebami ludu, i sami wiele zyskają na tym. Dzisiaj zaś w żaden sposób oskarżać ich nie można o brak dobrej woli.

Wracając do porozumiewania się włościan z dziećmi, winniśmy tu zacytować jeden fakt, który dla dobrego przykładu jaki stanowi i rozgłosu jaki w okolicznych kółkach włościańskich niewątpliwie mieć będzie, zasługuje na zanotowanie w naszej kronice. Pewnemu obywatelowi, trzymającemu rozległą dzierżawę w okolicach Warszawy, narodziło się w tych czasach dziecko. Obywatel ów, pragnąc dopełnić ceremonii chrztu na nowonarodzonym, zamierzył zaprosić na rodziców chrzestnych, wyłącznie samych tylko włościan wsi do jego dzierżawy należących. Udał się więc do chat i sprosił dwanaście par, tak z gospodarzy jak i z komorników, a wybierając w ten sposób, żeby i najbogatsi i najubożsi brali w tym udział. I rzeczywiście pary tak były przeplatane, że zamożny gospodarz trzymał z ubogą komornicą, i nawzajem. Włościanie z początku brali to za żart i nie mogli pojąć żeby pan im pragnął powierzyć te obowiązki niejako opieki i ojcostwa nad nowonarodzonym dzieckiem; wpróż jednak przekonali się, że żadnego żartu w tym niema i ceremonia odbyła się jaknajprzykładniej, kościół był napelniony, a wszyscy chrzestni i wielu z gromady zaproszeni zostali do dworu, gdzie ich oczekiwało gościnne przyjęcie. Podejmowano ich tam bowiem nie już jako podwładnych włościan, ale jako dobrych i przychylnych sąsiadów.

Trudno uwierzyć ile wypadek ten wpłynął na utwierdzenie dobrych stosunków owego dzierżawcy z włościanami, drobne bowiem takie na pozór okoliczności, wielką mają wagę, przez zbliżenie właśnie w zwykłych stosunkach życia, które powodują.

Tę jedność, te dobre chęci, to dążenie do wprowadzenia ich w czyn, winniśmy ogólnemu współdziałaniu, którego owoce dzisiaj cząstkowo czuć się dają a wkrótce cały kraj ogarną.

To współdziałanie raz poczęte, nie ustanie już; zmieniając warunki swojego istnienia, nie zmieni łączności, którą zaprowadzić potrafiło w rozproszonych dotychczas ogniwach wielkiego społecznego łańcucha. Takim zamiarom, takim dążeniom, takim czynom kraj cały poklaskuje, a wdzięczna potomność zachowa kiedyś dla nich należne hołdy.

Pożar miasta Rawy srogą tamecznych mieszkańców dotknął kłeską. Mnóstwo rodzin znajduje się bez chleba, bez przytulku, bez sposobu obmyślenia sobie jakiegobądź ratunku na przyszłość. Ze wszystkich stron spieszą z pomocą. Miejscowy dozór szpitalny, pod przewodnictwem znanego i powszechnie cenionego w okolicy obywatela p. Jabłońskiego, gorliwie zajmuje się pogorzalcami. Okoliczni obywatele, sąsiednie miasteczka dosyłają pieniądze i żywności, składki zbierają się wszędzie, a i w Warszawie znaczne już złożono summy. Wszystkie nasze redakcyje podjęły się tych składek. Redakcyja Tygodnika, ogłaszając dziś odezwę prezydującego w komitecie wsparcia pogorzalców, przyjmować również będzie, co dobra wola czytelników nadsyłać jej raczy.

Kraj nasz nie kwitnie jeszcze zamożnością i pomyslnym bytem, które nieraz w narodach rodzą tylko egoizm i nieczułość na kłeski drugich. Litość najłatwiej krzewi się w sercach, co same przez ciężkie próby przeszły, i życie stwierdzało zawsze te słowa wielkiego poety rzymskiego, które on włożył w usta królowej kartagińskiej przemawiającej do Eneasza.

Non ignare mali miseris succurrere disco.

Tak zaiste, ten kto z nieszczęściem obeznany, umie uciec i nieszczęście drugich. Pomysłowość zaślepia i robi głuchemi na skargi. Może też i dlatego Przedwieczny najbardziej ukochanym przez siebie, najcięższy

krzyż daje do znoszenia. Powiedzmy bowiem razem z poetą:

Bo kto tu nie w złoto, nie w ziemskie tu dobro
Żywota trud włoży, lecz w wierną i chrobrą
Usługę dla ludów swobody—
Ten rany jedyną nagrodą otrzyma,
A krzyżu kto służy, dla tego Bóg niema
Piękniejszej nad krzyż swój nagrody.

Do redaktora Tygodnika Ilustrowanego.

W 80ym numerze Tygodnika umieszczono artykuł o teatrze hr. Stanisława Skarbka we Lwowie, w którym między innymi powiedziano: że usunięcie ks. Karola Jabłonowskiego od kuratorstwa fundacyi Skarbka, było tym samym pozbawieniem tego przywileju i następców jego aktem fundacyi oznaczonych, z których najbliższym jest hr. Fryderyk Skarbek.

To zdanie i wnioski z niego wyprowadzone potrzebują sprostowania; a ponieważ ogłoszenie ich może szkodzić instytucyi Stanisława Skarbka, a mnie naraża na zarzut zaniedbania sprawy tak ważnej dla Galicyi, której zapewnia przytułek dla ubóstwa i scenę narodową, czuję się przeto w obowiązku sprostować publicznie powyższe zdanie o przyszłym losie kuratoryi zakładu skarbkowskiego.

Przez akt urzędowy, spisany we Lwowie dnia 5 marca 1844 roku, przeznaczył s. p. hr. Stanisław Skarbek cały swój majątek założeniu i utrzymaniu wielkiego zakładu dla ubogich i sierot, zastrzegając dla spadkobierców swoich, w porządku przez niego w tymże akcie wskazanym, prawo wieczyste sprawowania kuratoryi tego zakładu i zażądania zwrotu na rzecz rodziny Skarbków całego zapisanego majątku, na przypadek gdyby dla jakichbądź przyczyn instytucya dobroczynna zaprowadzona być nie mogła, lub gdyby rząd chciał dać inne przeznaczenie tej fundacyi.

Trzeci artykuł powołanego aktu, stanowiąc że kuratorya instytucji ma być dziedziczną w rodzinie Skarbków, naznacza pierwszym kuratorem ks. Karola Jabłonowskiego, jako męża synowicy fundatora, a po jego śmierci Fryderyka hr. Skarbka i jego successorów w męskiej linii, podług zasad primogenitury, a to aż do wygaśnięcia tej linii.

W statutach fundacyi przewidziany jest przypadek potrzeby oddalenia kuratora, a nie jest wyraźnie postanowionem, komu te obowiązki zastępczo powierzone być mają, ani jest zastrzeżone takie prawo dla następującego kuratora; lecz owszem przyznaje akt fundacyi rządowi krajowemu prawo wdania się w tę sprawę, gdy zajdzie potrzeba zawieszenia kuratora.

Z tego wyjaśnienia okazuje się: że Fryderykowi Skarbkowi nie służy prawo upominania się o prerogatywy kuratora fundacyi Stanisława Skarbka, póki żyje wyznaczony przez niego pierwszy kurator, ani też prawo domagania się tego, ażeby jemu poruczoną została kuratorya, gdy książe Jabłonowski od niej usunięty został. Lecz służyło mu prawo upomnienia się o prawa rodziny Skarbków, zwyczaj przytoczonym artykułem trzecim zabezpieczone, co też uczynił.

Zaniósł on bowiem w lutym roku 1852 prośbę do ówczesnego namiestnika s. p. księcia Paszkiewicza, o odwołanie się drogą dyplomatyczną do dworu wiedeńskiego, celem wyjaśnienia czyli usunięcie ks. Jabłonowskiego od kuratoryi, nie jest takim postanowieniem, któreby według art. 2 aktu fundacyi, upoważniało successorów Stanisława Skarbka do upomnienia się o zwrot całego majątku rodzinie. Na przychylną odezwę ks. namiestnika do barona Meyendorfa, podówczas posła przy dworze wiedeńskim uczynioną, zażądał tenże objaśnienia tego interesu od ministra spraw zagranicznych państwa austriackiego, który obok odpowiedzi na tę notę, nadesłał baronowi Meyendorf obszernie wyjaśnienie całej tej okoliczności, przez ministra spraw wewnętrznych złożone. Z wyjaśnienia tego okazało się: że usunięcie ks. Jabłonowskiego od kuratorstwa jest tylko tymczasowe i było powodowane konieczną potrzebą uporządkowania zaniedbanych interesów fundacyi Stanisława Skarbka, na dowód czego przytacza, iż zachowano ks. Jabłonowskiemu pensją do posady kuratora przywiązaną.

Odezwą ministra spraw zagranicznych do barona Meyendorfa kończy się następującem oświadczeniem:

„Hrabia Fryderyk Skarbek, który jako spadkobierca fundatora tej instytucji, zażądał objaśnień w tym przedmiocie, może się przekonać z dołączonego tu przedstawienia ministra spraw wewnętrznych, że ks. Jabłonowski *czasowo* tylko jest usunięty od kuratoryi zakładu, a to z powodów nieodzownej konieczności, które dowodzą najwyraźniej, że rząd austriacki *ma zamiar zachować w całej swojej mocy powyższą fundacyę* i zapewnić jej wykonanie w całej rozciągłości, według dobroczynnych intencyj fundatora.“

Fr. hr. S.

Czarnego 1282 r., na pamiątkę pokonania pod Lublinem Jadrungów.

Kościół św. Ducha stanął z darów obywatelskich 1342 r., na pamiątkę rozkrzewienia wiary katolickiej na Rusi.

Kościół i klasztor dominikanów, zbudował Kazmirz Wielki 1350 r., na pamiątkę przyłączenia Rusi ze Lwowem do Korony; a jest to tenże gmach święty, w którym potem odbywały się wstępne narady, względem połączenia Litwy i Polski.

Kościół św. Trójcy, przy zamku, zbudował Władysław Jagiełło, na pamiątkę swego przybycia do Polski 1386 r. samotrzeć, czyli z dwoma braćmi: Witoldem i Skirgiełłą, a które się zakończyło przyjęciem przezeń wiary chrześcijańskiej, zaślubieniem Jadwigi i połączeniem się Litwy z Polską.

Kościół i klasztor panien brygidek zbudował tenże Władysław Jagiełło, na pamiątkę świetnego swego zwycięstwa nad Krzyżakami, 1410 roku pod Grunwaldem i Tanenbergiem.

Kościół i klasztor o. o. bernardynów, stanął ze składek dobrowolnych, na pamiątkę zwycięstwa 1489 r. odniesionego przez Jana Alberta, królewicza polskiego, pod Kopertynem, nad Tatarami.

Kościół i klasztor jezuitów, dzisiaj zwane po-jezuitki, zbudował biskup Maciejowski 1582 r., wraz z gmachem obok, na szkoły publiczne przeznaczonym.

Kościół i klasztor bazylianów założył Zygmunt III, na pamiątkę unii dwóch kościołów: rzymskiego i greckiego, stanowczo 1593 r. w Brześciu Litewskim dopełnionej.

Kościół i klasztor panien bernardynek zbudował za czasów tegoż króla Zygmunta 1618 r. swoim kosztem Siennicki, cześnik lubelski, z przeznaczeniem na przytułek i wychowanie córek osieroconych po ojcach, w bojach za wiarę i ojczyznę poległych.

Kościół i klasztor augustyanów, zbudowany został kosztem miasta Lublina, za panowania Władysława IV, na pamiątkę pokoju zawartego z Moskwą 1634 r., a z przeznaczeniem na przytułek i wygodę rycerzy w bojach okaleczonych i na siłach starganych.

Kościół i klasztor panien karmelitanek, dziś szpital braci miłosiernych, założył Mikołaj Danielewicz podskarbi koronny, na pamiątkę onej sławnej z 1656 r. konfederacyi tyszowieckiej.

A zaś kościół i klasztor o. o. karmelitów, dziś szpital braci miłosiernych, wybudował Jan Mniszech, w części z funduszów pozostałych po bracie jego Jerzym Mniszchu i córce jego carycy Marynie, ku ochronie rozbitków z wyprawy za złotem runem moskiewskiem.

Podobnie było z początkiem oraz przeznaczeniem innych kościołów i klasztorów tutejszych, z których wiele już nie istnieje, Nawet i kościół ewangelicki i bóżnica żydowska, azacz nie stoją na dowód a świadectwo onej tolerancji w Polsce, której im inne odmawiały narody? Prawda że z czasem, przy zmianie rzeczy i ludzi, mogła się myśl pierwotna zacierać, ależ to nie założyli już wina. Ich myśl była piękna i święta, im zaszczytna, bliżnim pożyteczna i panu Bogu śmiać miła, kiedy tyle jeszcze z onych budowli, pomimo ogólnej narodowej ruiny, do dziś się przechowało.

Był więc kiedyś Lublin wielki i świetny; dziś już nie to co było, ale i tak jeszcze nie brak w nim domów porządkowych, placów obszernych, ulic szerokich, nawet przedmieść wcale przyjemnych, które opasując go dookoła, łączą w nim wieś i miasto. Więc też poczciwi Lublinianie, kiedy zima, to już oni u winiarza albo miodziarza, myśląc: że jak zima, to jegomość robić w domu co niema. A zaś kochane Lublinianki, pomnie: że kiedy niema w domu jegomości, nudzi się samej jejności, dalejże do kumoszek, na kawkę z sucharkami, albo z piwkiem grzanki i o mężach pogadanki. Tak u nas bywa w zimie, lecz za to w lecie, to już wszystko pospołu wysuwa się na przedmieścia, i aż na wioski, na śmietane, owoce i jagódki, rozumie się z wyjątkiem niektórych facetusów, co podobnie w lecie jak w zimie wolą siedzieć w mieście przy kuflu, niż gdzieś tam gonić po wsi za zdrojową wodą, lub bawić się w patryotyczne pamiątki po ruinach Firlejów w Dąbrowicach, albo Tarłów w Czechówce.

A teraz, hejże, już prościuteńko do domu. Dalej, naprzód! Raz, dwa! Raz, dwa! Czas odetchnąć nareszcie. Owóż jesteście. Proszę za mną po schodach. Numer trzeci... I otworzył pan Hołota drzwi szybko, a ja, zaspany i pomięszany, zacząłem przeproszać za czas stracony i niepotrzebne uwagi.

— Co pan mówi? czas stracony! A niechże pan Bóg mię broni, podchwycił pan Hołota. Ja przynajmniej czasu mego dobrze użyłem. A jeżeli o uwagi idzie, to proszę je przebaczyć stáremu.

— Ale gdzie zaś, przerwałem, to ja pana Hołotę powinienem prosić o przebaczenie.

— Cóż to było? pewnie jaka płochość młodzieńcza, odezwała się strwożona moja matka.

— Jako żywo, nie zgola, odrzekł wnet pan Hołota. Wszystko owszem było dobrze, bardzo dobrze. A teraz, jeśli łaska jejności, napijem się dla strawności wódeczki. A wyborna! Zaraz widać że nie żydowska, domowa i żytniówka, nie kartoflanka. Więc też żadnej po niej przegryzki. Bóg zapłać! A teraz to już biegne moje gospodarstwo obejrzyć, ziółka podlać, a szczebioty nakarmić. Padam do nóg! całuję rączki! a jeśliby potrzeba było, to zaraz proszę na mnie zawołać. Jestem zawsze gotów do posług!

I podarł pan Hołota po schodkach na poddasze, nucąc sobie półgłosem:

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przym litośnie, Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech cię nawet sen nasz chwali.

Nazajutrz, zaraz od rana, w dalszą zabraliśmy się drogę. Gdy przyszło do wsiadania, matka moja chciała koniecznie wynagrodzić usługi pana Hołoty.

— Nic w tém, rzekł, nałóg druga natura, więc ja mego zmienić nałogu nie mogę. Bóg zapłać za chęć dobrą! Zresztą po co mi pieniądze? Lecz jeżeli trzeba co przyjąć koniecznie, to już chyba buteleczkę domowego miodku; chętnie się go czasem na pamiątkę napiję, za zdrowie łaskawej jejności dobrodziejki. A zaś co do zacnego młodzieńca, to będzie dość dla mnie nagrody, jeżeli co tu widział albo słyszał dobrego, zechce sobie utkwic w pamięci, a gdy pora a potrzeba się zdarzy, to też drugim opowie lub opisz.

A czego też ja z przyjemnością dopełniając w tym dniu dzisiejszym, kończę z głębokości serca wołaniem: Niechaj będzie błogosławiona pamięć pana Hołoty, na wieki wieków! Amen.

Jak to było na drodze z Lublina do Warszawy.

Od czasu, jak podobało się Bogu stworzyć świat który zamieszkujemy, żadnego jeszcze nie zawiodło jutro: każde przychodzi, tylko nie każde dla każdego. Jest jedno z nich dla każdego z nas, którego nie doczeka się nieborak. Ze jednakże pewnego ranka, a jest temu lat 30 i więcej, przebudziłem się wszyscy z łaski Boga, ilu nas było wczoraj, a rano był przesłiczny, więc i krewni i przyjaciele postanowili nas odprowadzić do Puław, które po drodze do Warszawy leżały. Osobliwa to rzecz zaprawdę, ta gotowość i ochoczość w Polakach do rozrywek gromadnych. Byle tylko pomyśl kto rzucił, a wnet wszyscy już zgodni, i jest kulig, podróż, przechadzka lub przejażdżka, tém weselsza i miłsza, im była niespodzianka.

Okolo godziny dziesiątej rano, ruszyliśmy tedy w towarzystwie przeszło dwudziestu osób płci obojg, starszych i młodszych, a wszystkich jednakowo wesółych, przez Markusów, własności sławnych niegdyś w dziejach Firlejów, ku Kurowu, własności także równie sławnego Potockiego Ignacego, a probostwu jego przyjaciela od serca, księdza Piramowicza.

— A to dokąd pani Bojarska?
— A to dokąd pani Szpinalska?
— A to dokąd panny Białeckie i Czarnieckie?
— Ho! ho! I stary też Ostrzewski i Kostrzewski, i sam nawet Kasperek, z żonkami i dziećmi, ciągną gdzieś w świat gęsiego.

— A do Puław! do Puław! odkrzyknęło towarzystwo wozowe na te z okien wołania.

— Piękny projekt! Śliczny projekt! A czemużecie nam nie powiedzieli? bylibyśmy z wami się wybrali.

— Szczęść Boże!
— A wesolej zabawy!

I też jechało się wesole. Wesole było całe towarzystwo podróżne, wesole niebo, wesole okolice, wesole wszystko po drodze i przy drodze. Słowem mówiąc, jechało się wesole.

Wtém, na raz, gdyśmy właśnie z górki szybko zjeżdżali, ozwały się głosy, najprzód męskie: Kurów! Popas! a potem zaraz głosy niewieście: Ułany! Ułany! I istotnie rozwijał się Kurów przed nami, i równocześnie widać było ciągnący ku miastu oddział ułanów, i do uszu naszych doleciała komenda:

— Bacność! Rotami od prawego w prawo! Marsz!

I usuwały się ułany na prawo, robiąc na lewo do przejazdu nam miejsce; gdy wtém jakiś trzpiot z któregoż wozu naszego, a już to pewnie trzpiot rodzaju żeńskiego, nuż się wyrwie ze śpiwka:

„Ułany! ułany! malowane dzieci!
A któraż dziewczyna z wami nie poleciała!”

Ułany oczywiście oczy do powozów, — to mię nie zadziwiło, — ale to, to już były dla mnie cud nad cudy. My z Polesia, ci z Lublina, oni do Kurowa, — a wszystko znajomi, ba! jakby przyjaciele lub bracia.

— A jak zdrowie? kapitanie Bogucki!

— A jak zdrowie? poruczniku Czechowski!

— Ho, ho! Ho, ho! I porucznik Jarzyna, i Kalina, i porucznicy Klonowicz i Jaworski, i Sosnowski i Debowski, a toż jakby ich zmówił na raz.

— Niechaj żyją ułany!

— Niech żyją obywaterale!

— Pleć piękna niechaj żyje!

A pleć piękna, na dowód że żyje, dalejże śpiewać:

„Moja mamó, był tu żołnierz,
Miał z granatem biały kołnierz,
Na guziku dwójka była,
Ach! jakżeby go lubiła!
Bógby dał! Bógby dał!
Żeby on mnie kochać chciał...”

— Hej! ułany! zawołał pan kapitan Bogucki, wszak ułany to wdzięczne dzieci! Odplacić piosnkę piosnką! A wartko, a żartko! Hej, po ułańsku! Pierwszy pluton zaczynaj!

I zaczął pierwszy pluton, hej! po ułańsku:

„Niema pana nad ułana,
A nad Polkę niema żony;
Bo Poleczki turkaweczki,
Reszta wszystko wrony!”

A potem pluton drugi starą piosnkę ułańską, ale po swojemu już przerobioną:

„Hej, tam, na błoniu,
Ułan na koniu;
Stuku, puku w okieneczko,
Wstańże, wyjdźże, panienczko,
Koniom wody daj!”

Zaledwo drugi pluton skończył, a już trzeci zaczynał:

„Tam na błoniu błyszczą kwiecie,
A tu ułan na widiecie;
Tu dziewczyna, jak malina,
Niesie koszyk róż!
Stój! poczekaj! luba duszko!
Dokąd drobną strzyżesz nóżką?
— Z tamtej chatki
Rwałam kwiatki,
I powracam już!”

Nie ustąpił czwarty pluton z innych żadnemu, a więc także z swęj strony:

„Piękna Basiu, śliczna Basiu!
Rączek twych nie łam,
Bo o Stasiu, lubym Stasiu,
Dobry ci wieść dam,
Poszli nasi do Skalmierza,
Przedać co Bóg dał,
I słyszeli od żołnierza,
Że Staś krzyż już miał!” (Dok. nast.)

Komitet wsparcia pogorzalców miasta Rawy.

Dnia 31 marca r. b., skutkiem wynikłego gwałtownego pożaru w mieście Rawie w rewirze przez starozakonnych zamieszkałym, zgorzało około 130 domów, mieszczących przeszło 500 rodzin z 1700 ludności, pozbawionych nietylko koniecznego schronienia, ale nadto środków wyżywienia się. Oddział ten, składający się z zabudowań drewnianych, nie mógł być skutecznie od ognia broniony, dlatego wielu pogorzalców wszystko stracili, i ledwie odzież na nich będącą uratowali, jedném słowem stan tych nieszczęśliwych zastuguje na największe politowanie.

Aczkolwiek komitet utworzony zajął się daniem odpowiedniej pomocy pogorzalcem, a wsparty ofiarami najbliższych obywateli ziemskich i mieszkańców miast okolicznych, nadto udzieleniem przez mieszkańców chrześcian w samęj Rawie pomieszczenia rodzinom starozakonnych, był dotąd w stanie najgwałtowniejsze potrzeby nieszczęśliwych zaspokoić, to przecież bez współdziałania całego kraju nie byłby w możności osiągnąć celu, pojmanego przez naród ze zwykłym poświęceniem przychodzący z pomocą nieszczęściem dotkniętym rodakom.

Do tego też uczucia odwołując się, komitet ma nadzieję, że kraj cały ze składkami pospieszy, bo ufa że odwołanie się do serc polskich znajdzie odgłos w sercu każdego. — Rawa, dnia 6 kwietnia 1864.

Przydujący w komitecie, St. Jabłoński.

PUDLINGARNIA I WALCOWNIA ŻELAZA W IRENIE.

Ktoby przed laty trzydziestu, przebywszy Wisłę pod Zawichostem, zapragnął przejechać na Zaklików do Janowa ordynackiego, naraziłby się na przedzieranie przez lesistą knieję, rozsiadłą od wieków na dwumilowej przestrzeni i niedotkniętą siekierą drwala. Ogromne zasy mchów spowitych wrzosem, zarosłych paprocią i lodygami kopytniku, porosty czepiające się zgrzybiałych pni drzewnych, strzelająca w gąszcz młodzież najpospolitszych naszych krzewów, tu i owdzie sitnikiem i tatarakiem zarosłe moczary, nadawały tej miejscowości charakter puszczy pierwotnej, przynależącej może naturalistę i poetę, ale przestraszającą zwykłego podróżnika. Wązkie i pełne romantycznych zakrętów, wybojów i dolów ścieżki, łączyły tu i owdzie porozrucane osady ubogie i ponure, jak Zdziechow-

ce i Łązek, należące do dóbr zaklikowskich. To też wędrowiec rzadko zawitał w tę część Lubelskiego, wsuniętą w galicyjskie łany.

Dziś drogę tę odbywamy po wygodnej szosie, która, jakkolwiek niezupełnie ukończona, przedstawia miły obraz ruchu i ożywienia: koszykowane fury z węglem, powózki z drzewem, surowcem i sztabami żelaza, gromadki fabrykantów, w swych skromnych ale charakterystycznych strojach, wieśniacy okoliczni, mieszczanie z aklikowscy, mijają się, dążąc to do wybrzeży Wisły, to do Ireny lub przyległego miasteczka. Taż sama po obu stronach rozciąga się puszcza, ale puszcza ożywiona ruchem przemysłowym, jaki się zrodził i zakrzewił po założeniu pudlingarni i walcowni żelaza w Irenie. Obfitość drzewa opałowego, dogodne położenie, bliskość wielkiej rzeki splawnej i handlowego Zawichosta, wszystko to stanowiło warunki pomyślne dla rozwoju zakładu, w którymby surowiec klimkiewiczowski przerabiany być mógł na żelazo walcowe.

Nie omylono się w położonych nadziejach: osada ta, w 1837 roku założona, następnie jako własność banku polskiego pod troskliwą opieką miejscowej administracji zostająca, zakwitła tak, iż dziś do 300 głów liczy, a ruch jej przemysłowy, handlowy i rolniczy oddziałł błogo na całą okolicę. Zamożność zawitała wszędzie, nawet do siół przyległych; zarobek bowiem częsty i pewny, oszczędność, umoralnienie skutkiem dobrego bytu, za nim idąca oświata, oto dzwignie nie tylko okolic, ale i krajów całych.

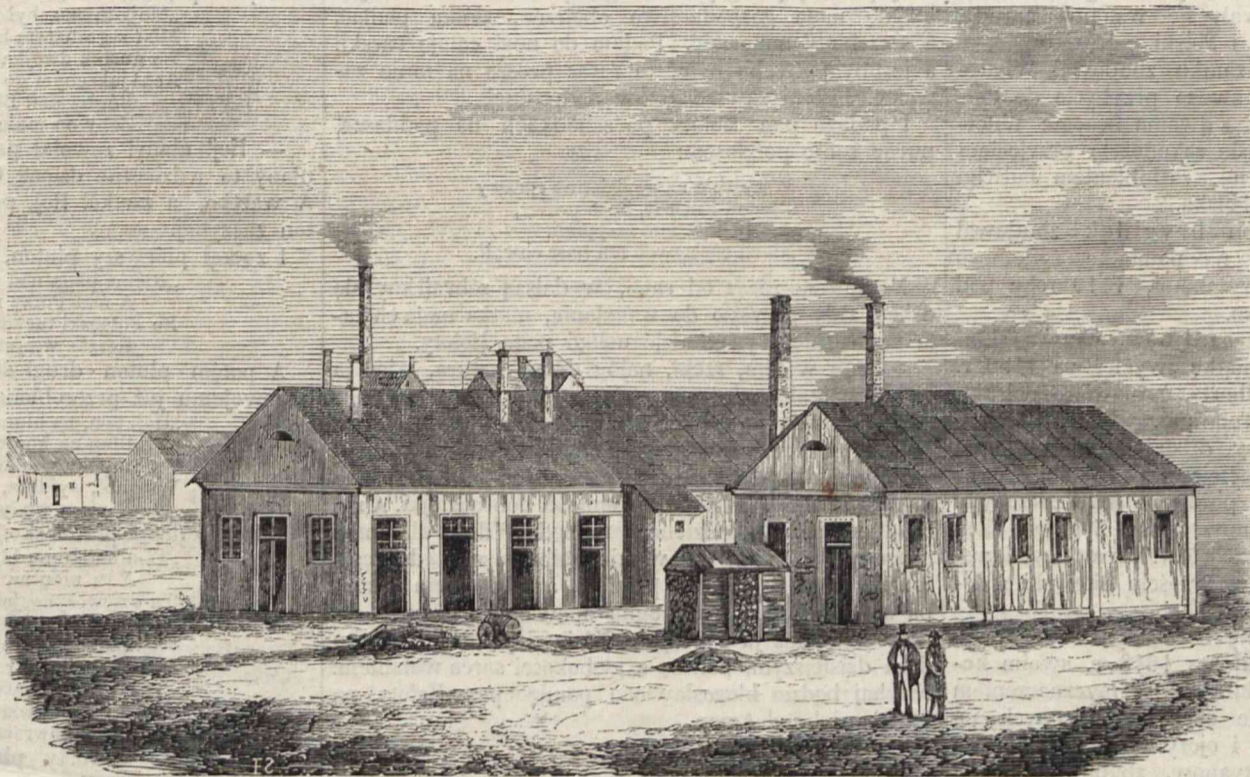
Przybywając do samej osady, uderza nas najprzód główny budynek fabryczny, mieszczący ośm pieców pudlowych, walcownię z 3 piecami szwejsowemi, oraz piec kopulowy do odlewów żelaznych, a raczej surowcowych. Dwie maszyny parowe, jedna przy pudlingarni o sile 20 koni, druga przy walcach o 48 koniach, z dwoma cylindrami, nadają życie temu zakładowi, poruszając walce, młot parowy około 20 cen-

tnarów wagi, miechy i kopulak w czasie skutecznego odlewów.

Nie tu jest miejsce przechodzić z czytelnikami naszymi cały proces przemiany surowca w żelazo: wpływy ognia, powietrza, ciśnienie walców, uderzanie młota, są głównymi czynnikami tej jednej z najpożyteczniejszych fabrykacji. Nawet dla najobojetniejszego wi-

grabie wielkiej taniości, fabryka otrzymała medal srebrny.

Wracając do osady, wspomniemy jeszcze, że składa się ona z 40 domów różnej konstrukcji, zamieszkałych przez robotników i resztę służby fabrycznej. Domy te, stojące przy nowej drodze, staraniem administracji zbudowanej, miły przedstawiają widok, otoczone ogródkami; każdy z pracowników w zakładzie tamtejszym posiada, oprócz wspomnianego ogródka, pewną ilość gruntu, który w chwilach wolnych od zajęć fabrycznych uprawia, co w domowym gospodarstwie niemałą pomoc stanowi. To też zamożność fabrykantów zakwitła, a wielu z nich, nie poprzestając na posiadanych kilkunastopiętrowych kawałkach gruntu, wzięło się do karczowania przyległych zarosli, i tym sposobem w ciągu dziesięciu lat na polach litego piasku lub mokradli, zdobyli niezamordowaną usilnością grunta, na których dziś, prócz innych zbóż, piękną pszenicę zbierają. Stada bydła, ich własnością będące, hodują się w przyległych borach, a zamożność ztąd płynąca widna na każdym kroku. Za do-



PUDLINGARNIA I WALCOWNIA ŻELAZA W IRENIE. (Rys. Polkowski, ryt. w drzeworytni Tygodnika.)

brobytem materyalnym, idzie ochota do oświaty; to też w Irenie z inicjatywy fabrykantów zaprowadzono szkołę, która obok istniejącej nieopodal w Zaklikowie, błogie przynosi już owoce. Ale postęp sięgnął jeszcze dalej: fabrykanci pomyśleli o zabezpieczeniu się przeciw wszelkim nieprzewidzianym w przyszłości wypadkom, na jakie robotnicy hutniczy tak często bywają narażeni. Oprócz więc składania pewnej części zarobku do kasy braterskiej, z której zapewnioną mają pomoc w razie choroby i placę w przypadku kalectwa, założono kasę oszczędności, rozwijającą się pomyślnie, jako dowód błogich owoców oszczędności i pracy. Przykład osady nie mógł pozostać bez wpływu na sąsiedztwo; to też okolica, niedawno jeszcze pusta, dziś jedną z najpiękniejszych miejscowości w kraju naszym stanowi. Przemysł, umiejętną dłoń kierowany, sprawił tę cudowną przemianę.

A. W.

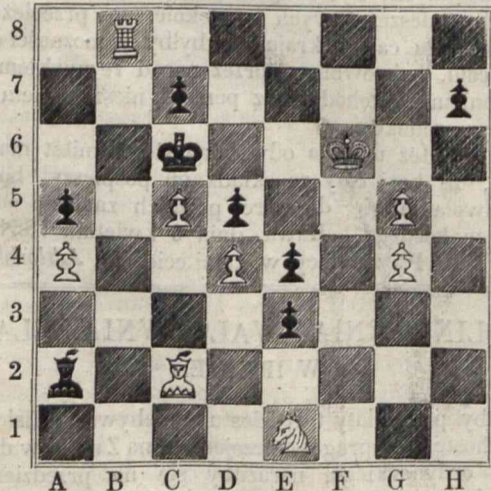
SZACHY.

ZADANIE LIX.

(S. B. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 58.

Białe.

Czarne.

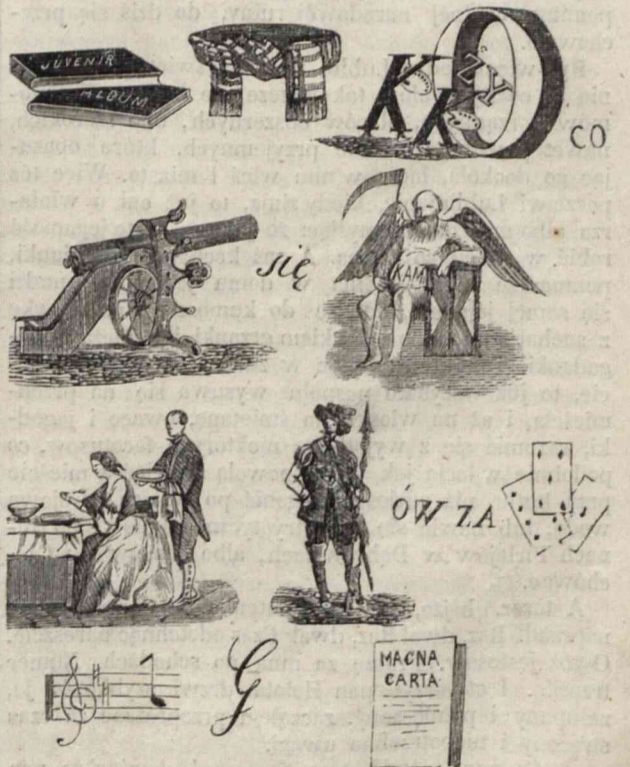
- 1) E2 — D3 1) C4 — D3 biorą.
- 2) C3 — D4 2) C2 — D4 biorą.
- 3) C4 — C8 † i mat.

Czarne muszą bić lafra i konia, ażeby nie dostały niemi mata.

W innym znów oddziale u szwejsowych pieców wydobyte wiązki żelaza, puszczają się między walce, zkąd wypływa długa, ognista wstęga żelazna. Stosownie do kalibru i nastawienia walców, żelazo wyrabiane bywa w najprzeróżniejszych gatunkach i formach, mających w handlu odpowiednie nazwiska, a w przemyśle specjalne zastosowanie. Żelazo ireńskie należy do najcelniejszych w całym kraju, roczna zaś jego produkcja dochodzi 25 do 30 tysięcy centnarów. Surowiec, stanowiący pierwszy materyał, dostarczany jest z wielkich pieców klimkiewiczowskich pod miastem Ostrowcem, o których wspominaliśmy roku zeszłego, w korespondencji naszej z nad Kamionny. Od nich to zależy bieg walcowni ireńskiej, one bowiem regulują jej produkcję. Niemożność produkowania więcej surowicy w piecach klimkiewiczowskich, odległość znaczna tych dwóch zakładów, utrudniona komunikacja w porze wiosennej, lub przerywanie przeprawy pod Zawichostem przez Wisłę, oto są przyczyny nie pozwalające podnieść produkcji w Irenie żelaza, które, jak powiedzieliśmy, znawcy uważają za najlepsze w kraju; zakład bowiem prowadzony jest na drzewie i zużywa surowiec również na węglu drzewnym wytopiony z wyborowego gatunku rudy. Dotychczas lasy miejscowe dostarczały dostatecznej ilości drzewa, obecnie zaś obszerne bory ordynacji zamojskiej zakładowi w pomoc przychodzą, a rozwinięte w nich tlenie węgla znaczne zapewnia okolicy korzyści.

Oprócz głównego budynku, który widzimy na załączonej rycinie, na placu fabrycznym wznoszą się inne budowle porządne, jako to: piec do wypalania cegły ogniotrwalej, piec do suszenia drzewa, domy na pomieszczenie administracji, magazyn i warsztaty mechaniczne. Te ostatnie rozwijają swą czynność z wielkim pożytkiem dla okolicy, wyrabiając narzędzia rolnicze i owe sławne wozy, dobrocią i taniością słynące, których budowy fabryka nastarczyć nie może. Na ostatniej wystawie lubelskiej wozy te zwróciły uwagę prawdziwych znawców, a za nie, jak również za

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 80. Ojcow śpiewać zacne dzieje, sumienie nam każe.